

Somno-patrol

Wysoki, szary blok mieszkalny tonął w mroku niekończącej się nocy. Ciemność, niby bezwzględna, zazdrosna kochanka próbowała zgnieść go w upiornym uścisku, bez sukcesu jak dotąd, choć nieuchronnie. Tej konkretnej nocy w sukurs jej przychodził siekający jak batem wiatr oraz deszcz- zimny, listopadowy, nienawidzący ludzi, drzew, budynków i całego bożego świata deszcz- skurwysyn. Wielkie kałuże rozlewały się po ulicach osiedla, a nieliczne samochody, które o tej porze wypuściły się w świat, rozbryzgiwały wodę na chodniki, tworząc prawdziwy tor przeszkód dla przechodniów. Zresztą, dla jedyne go o tej porze, zbląkanego wędrowca nie było już nadziei- zarówno znoszona, tania kurtka z bazaru, jak i sztruksowe spodnie i starte buty były przemoczone, kapiące i zniszczone. Mężczyzna kulił się, idąc jak najbliżej pokrytych jaskrawym graffiti ścian budynków, przeskakiwał mniejsze jeziora tworzące się wśród połamanych płyt chodnika, a na palcach przechodził przez te większe, nieijalne. Gdy mokry, zmarznięty i przeraźliwie zmęczony dotarł wreszcie do drzwi swej klatki, pęknięta automatyczna lampa oświetliła żalną, wymizerniałą postać, przetrząsającą nerwowo kieszenie w poszukiwaniu klucza.

- W dupę z tym wszystkim- cicha skarga zlała się z szumem wody wypływanej przez pobliską rynnę- Położyć się tylko, wreszcie odciąć...

Kolejna fala bluzgów towarzyszyła skrobaniu zamka drzwi. Już miał trafić w dziurkę, już miał otwierać te przeklęte drzwi, kiedy lampa zgasła, pogrążając go w ciemności.

- Do ciężkiej... - mężczyzna podniósł rękę i machnął na nią, by aktywować czujnik.

Wreszcie w środku. Teraz tylko kilka schodów, już nie dużo, jeszcze tylko chwilką...

Nieoświetlonym korytarzem przeszedł obok kanciapy stróża. W środku wiecznie włączony telewizor rzucał trupie światło na wąsatego, podstarzałego obwiesia w rozciągniętej, czarnej koszulce. Donośne chrapanie zagłuszało odgłosy nocnego pasma teleturniejów. Przybysz mógł rzucić tylko nienawistne spojrzenie człowiekowi w środku.

Jeszcze chwila i będzie mógł zasnąć. Jeszcze tylko parę kroków...

Droga na górę trwała wieczność. Nim pokonał ostatni schodek, zostawił za sobą cienką strużkę wody skapującej z jego ubrań, jak krew, z którą wyciekało z niego życie. Przepalająca się żarówka migotała szalonym alfabetem Morse'a, kończąc powoli swój żywot. To jeszcze bardziej go denerwowało. W tym momencie denerwowało go

praktycznie wszystko. Stanął przed drzwiami, identycznymi z dziesiątkami innych w tym bloku. “Po prostu spać”.

Po chwili oporu drzwi z niewielką tabliczką “Dubiel” otworzyły się, a potem zamknęły z trzaskiem. Żarówka na korytarzu jaśniała jeszcze kilka sekund, po czym przepaliła się na amen. Na korytarzu zapanował mrok.

Dubiel zrzucił niewielką torbę na krzesło pod lustrem, zdjął rozmoknięte buty, niedbale powiesił kurtkę na pojedynczym kołku. Spojrzał na siebie w lustrze. Worki pod oczami i morze zmarszczek upodabniały go do starego, zmęczonego życiem mopsa. Rozdrażnione spojrzenie doskonale komponowało się z zaciśniętymi wargami i rzadkimi kępkami zarostu, a starannie roztargane i mokre włosy stanowiły ostatnie pociągnięcie pędzla na żywym portrecie zatytułowanym: “Spierdolony dzień- olej na płótnie”.

Przeszedł do salonu, a w zasadzie jedyne go pokoju apartamentu przegranego żywota. Nie zapalał nawet światła, nie było sensu marnować energii na te parę chwil. Kulawym slalomem ominął pufę stojącą na środku pomieszczenia, by dotrzeć do zlewu w aneksie kuchennym. Nalał sobie kranówki do jednej z niemytych od tygodnia szklanek i wypił kilkoma haustami. Rozpinał koszulę, macając guziki na wpół przez sen.

Jeszcze tylko spodnie, gacie i już leżał w łóżku. Wreszcie.

Znów w krainę snów.

- Jeszcze szampana, kochanie?

Głos kuszącej, biuściastej blondynki w płonącej czerwieni sukni perliście pieścił uszy, gdy zbliżała się z butelką. Kazimierz powitał ją z uśmiechem, wpuszczając w krąg ludzi. Byli tu wszyscy: Elvis w lśniącym kombinezonie i brylantyną na włosach, młody Boguś Linda z papierosem w zębach, Sasha Grey w pełnym neglizżu, prezydent Kwaśniewski... On sam stał pośród nich, rzucał kolejnymi pikantnymi anegdotami, zdobywając sobie śmiech i uznanie towarzystwa. Uwielbiali go, a on zaszczycał ich swoją obecnością, rozsiewał charyzmę i promieniował czarem.

- A ja mu na to: “Wasza Eminencjo, zapnijcie choć rozporek”! - zakończył puentą, która spotkała się z aplauzem, rykiem śmiechu mężczyzn i stłumionymi chichotami dam. “Taak, śmieście się, świnię”, pomyślał, “używajcie mojej łaski, pókim dobry”.
- Doprawdy, senatorze Dubiel, powinien pan spróbować swych sił w telewizji- odezwał się prezydent Kwaśniewski, szturchając go łokciem- z taką prezencją i gadką trafiłby pan do pasma wieczornej rozrywki, jak nic! Jak nic!

Kazimierz zmierzył go gniewnym wzrokiem. Stary pijus już miał porządnie nalane pod kurek, zrozumiał jednak aluzję i ostentacyjnie odsunął się od reszty towarzystwa. Nikt miał chcieć zadawać się z przegrańcami, a ten tutaj był takim typem bez dwóch zdań. Odtrącony przez tłum, z miną zbitego psa ex-prezydent skulił się w sobie, stał jeszcze przez chwilę na oboczu, za plecami elitarnej gromadki, po czym zniknął w tłumie gości.

Przyjęcie dopiero się rozkręcało, ale już można było docenić jego rozmach, feerię barw, rozbłyśki światła migające w kryształowych kandelabrach, tworzące wielobarwne tęcze. W powietrzu płynęła delikatna muzyka- tło rozmów o biznesie, seksie i pieniądzech-tematach, które Kazimierz znał się jak nikt inny.

Rozejrzał się po otaczającym go kręgu. “O tak, łaście się, błyszcząca bando lizusów, wygłodniała zaszczytów spływających z mych nieboskłonów...”.

Jedna z kobiet stojących w kręgu ściągnęła jego uwagę jak magnes. Nie widział jej tu wcześniej, zapamiętałby, gdyby tak było- bujne kasztanowe włosy spływały kaskadami na drobne ramiona i w dół, gdzie skrywały...

- Dobrze się bawisz, skarbie? - szept wystrojonej blondynki płynął wprost do jego ucha z wydętych namiętne warg- bo wiesz... gdybyś chciał, moglibyśmy wyskoczyć w jakieś ustronne miejsce i...

Kazimierz zadrżał, z podniecenia w oczekiwaniu bliskiej rozkoszy. “Wyrwać się z tego zgromadzenia osłów, uciec z mą Muzą...”, myślał. Znał tą kobietę jak nikogo na świecie, była jego przyjaciółką, kochanką, jedynym sensem...

Gdzieś w oddali zapanowało poruszenie. Ktoś rozmawiał głośno i choć Kazimierz nie słyszał słów, bez trudu poznał, że kłótnia wisi w powietrzu. Wyciągnął szyję nad ramieniem Elvisa by dojrzeć, kto zaraz dostanie po ryju. W towarzystwie nieudolnie uspokajających sytuację kelnerów stał... cóż, musiał to być człowiek, goryle rzadko wbijają się w garnitur, golą twarz i głowę na лыso, a następnie próbują wyrwać się z uścisku wiszących na nich garsonów.

- Mówię przecież- grzmiał wielkolud - że jestem na służbie! Tu jest blacha, widzisz ją tymi swoimi zamglonymi patrzalkami? Puszczaj, bo ci wlepię Górkiewicza do papierów i skończy się babci sranko!

“Kim jest ten człowiek?- zastanawiał się Kazimierz, zapatrzony na widowisko. “Nie wygląda jak gość balu, więc kto go wpuścił?”

Ktoś chwycił go za rękę i pociągnął. Jego Muza, z uroczym uśmiechem i dekoltem sięgającym pępka, ukazującym pełne kształty przyszłych rozkoszy.

- Chodźmy już, Kaziu, robi się tu niespokojnie- powiedziała cicho, wślizgując mu się pod ramię i prowadząc w kierunku wyjścia.
- Ale kto to właściwie...- odwrócił się jeszcze, by sprawdzić, jak zakończyła się cała sprawa, lecz spasował.

Wciąż grała czarowna, hipnotyzująca, słodka muzyka, a wokół z sinusoidalną nieregularnością falował tłum, silniej nawet niż wcześniej, o ile Kazimierz potrafił to ocenić. Coś jednak nie zgadzało się w podszewce rzeczywistości, coś zgrzytało w podtekstach dźwięku... Stłoczone grupki gości zbiły się w ciaśniejsze gromady, szemrzące po cichu o strachu i samotności...

Ktoś zastąpił im drogę. Kasztanowłosa piękność, która przyciągnęła jego uwagę wcześniej. Teraz jednak nie miała na sobie sukni, a czarny, przetykany żółtymi wstawkami i dopasowany do zgrabnej, drobnej figury kostium, który można by pomylić z... mundurem? Skojarzenie wypłynęło w jego myślach jak boja na wzburzonym oceanie. Dostrzegł jeszcze jeden szczegół- również niewielką, metalową odznakę przypiętą na piersi. Miała ją, gdy stała wokół nich w kręgu. Dlaczego wtedy jej nie zauważył?

- Kazimierzu Dubiel, proszę się zatrzymać- zakomenderowała kobieta- twór, który jest z panem...

Nie dokończyła. Blond Muza pociągnęła silnie rękę Kazimierza i wpadła wprost w otwierające się przed nimi drzwi, które błysnęły palącym oczym światłem. Za sobą usłyszał krzyk tamtej:

- Somno-patrol! Stać!
- I drugi głos- ryk wielkoluda:
- Leine, skacz za nimi! Texel, ekranowanie na...
- Głos rozplynął się w huraganie szumu w uszach.

Kazimierz poczuł pieczenie i wiatr bijący w twarz, oczy świdrowała mu biel, po przytłumionym świetle balu paląca niby wybuchająca gwiazda. Pęd powietrza odbierał mu dech. Spadał w dół... nie, nie spadał, uświadomił sobie, lecz zjeżdżał! Rozejrzał się i dopiero teraz z zalewu bieli wy dobył szczegóły. Był na stromym, nieskończenie długim stoku, a dookoła piętrzyły się skarpy i szczyty górskie, strzelające aż ku chmurom, ku niebu. To nie były Tatry, to nie były nawet Himalaje, to jakaś emanacja Gór wcielona w życie przed jego oczyma, z każdą chwilą wznosząc się coraz wyżej i wyżej... Czy to była prawda? Czy on śni?

Spojrzał przed siebie i w dół. Na nogach miał narty i zjeżdżał w dół opadającego stromo zbocza. Czysta adrenalina zaczęła pulsować mu w żyłach, poczuł zalew euforii, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczał. Nigdy też nie jeździł na nartach, ale najwyraźniej był w tym świetny! Szybkimi zakosami szusował po niezmaconej dotąd płachcie\ bieli.

- Jak się bawisz, kochanie?- usłyszał głos, Muzy gdzieś z boku.

Obok niego, w czerwonym, opinającym ciało kostiumie narciarskim i wielkich goglach dotrzymywała mu tempa. Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń w rękawicy. Razem pędzili na złamanie karku, niepowstrzymani w swym szale prędkości.

Ale nie byli sami.

Nie zwalniając Kazimierz odwrócił się i spojrzał przez ramię. Nikogo. Spojrzał przed siebie, na wielką zaspę blokującą drogę. Spiał uda i zwinnie wyminął przeszkodę, a wyciągniętą dłonią łobuzersko przeciągnął po tafli śniegu, wzbudzając ogromny pióropusz mroźnych diamentów. Teraz tylko...

Drobna postać w czarnym kombinezonie wyprysnęła w powietrze, robiąc piruet i spadając miękko tuż obok niego. Nie zwolniła, gdy jej czarne narty uderzyły o podłoże- przeciwnie, nabierała prędkości i zrównała się z nimi. Miała czarny kask z przyłbicą, a jej kombinezon żółte wstawki.

- Dubiel, zatrzymaj się, człowieku!- usłyszał głos nieznajomej z balu- zostałeś porwany przez groźny...

Jej głos utonął w ryku powietrza, gdy Muza przyciągnęła go za rękę, zmuszając do gwałtownego skrętu w lewo. Odsadzili tamtą na dobre pięćdziesiąt metrów. Byli bezpieczni, póki co udało im się uciec. Tylko dlaczego uciekali? I przed kim?

Przeraźliwy huk dobiegł z góry, z wyższej partii stoku. Lawina! Wywołali lawinę! Teraz dopiero zaczniesz się zabawa!

Gdy ponownie odwrócił się, by podziwiać swoje dzieło zrozumiał, jak głęboko są w dupie.

Na tle wysokiej na kilkanaście metrów fali śniegu ogromnymi susami szarżowało na nich coś wielkiego i czworonożnego. Przy każdym skoku stworzenie wywoływało wybuchy śniegu, zapadające się po pas, jednak nie zwalniając ani na moment, jakby grawitacja, opór powietrza, fizyka i logika w ogóle się go nie miały. Potwór rodem z lodowego piekła, albo...

- Texel, wrzucaj ich na kołowrotek, żeby nam nie uciekli!

Wielkolud z balu dosiadał ożywiony, galopujący wściekle, ogromny, dębowy stół, poruszający długimi nogami niczym koń. Kazimierz widział powiewający obrus i zastawę,

którą ktoś przybił chyba gwoździami. Wraz z upiornym jeźdźcem pędzili za nim wśród śnieżnej lawiny. W tym momencie Kazimierz wolałby się ścigać z samym szatanem.

- Uda się nam! Musisz tylko wierzyć!- krzyknęła do niego Muza, pochylając się nisko, by przyspieszyć- za tamtą krawędzią jest przepaść, za którą...

Nie dokończyła. Ziemia pod nimi zadygotała, uniosła się i zafalowała jak na statku. Wyrzuciło ich w powietrze, a gdy spadli nie zwalniając jazdy, nie było już przed nimi ani przepaści, ani nawet horyzontu. Teren wznosił się jak rampa, coraz wyżej i wyżej... a następnie wyginał jeszcze bardziej, przez co przechodził w nieboskłon przypominający powiększone do olbrzymich rozmiarów, pokryte lodem koło. Śnieg odrywał się niechętnie z powierzchni płynącej nad ich głowami, poza tym jednak kolejna z niezmiennych zasad rządzących światem została wyrzucona przez okno.

Zatrzymali się gwałtownie.

- To na nic! Nie przedrzemy się! - krzyknął rozpaczliwie, wlepiając wzrok w ryczącą wśród lawiny stoło-ludzką abominację.
- Możemy zrobić jeszcze jedno- odpowiedziała Muza- ale musisz we mnie wierzyć.

Nie czekając na odpowiedź, wyprężyła się i przyskoczyła do niego. Usta Kazimierza rozwarły się ze zdziwienia, tylko po to, by Muza chwyciła je długimi palcami i rozciągnęła jeszcze szerzej, do nienaturalnych rozmiarów. Trysnęła krew, coś trzasnęło mu w karku. Kobieta pociągnęła jeszcze mocniej i ku jego przerażeniu rzuciła się głową w przód, wprost w poszerzone koszmarnie, rozerwane razem ze szczęką i połową szyi usta. Pomagając sobie łokciami wpelzała głębiej i głębiej. Nie czuł bólu- to chyba szok odebrał mu zmysły. Wreszcie ostatnie kopnięcie i cała jej postać zniknęła w jego wnętrzu. Bezwładne ciało mężczyzny padło na ziemię. Śnieg w promieniu kilku metrów topniał, zalany ciepłą, krzepnącą posoką.

Podniósł ręce i dotknął twarzy. Była cała, choć obolała, jak po męczących wymiotach lub długim, rwącym gardło krzyku. To był tylko sen? Kim była... Rozejrzył się i zmarł.

Dach czternastego piętra wieżowca zalewany był szaleńczą ulewą. Przez ciemność próbowały przebić się nieliczne światła dalekich wieżowców, ale strugi gęstego deszczu przesłaniały je, niby kotara zaciągnięta przed oczami nieszczęsnego obserwatora. Zimny wiatr siekł niemiłosiernie, potęgując lodowate dreszcze. Mężczyzna był w samych przesiąkniętych wodą bokserkach, a wątłe ciało zalewały kolejne strugi. Czy to możliwe,

że lunatykował? Wszedł na samą górę, otworzył klapę prowadzącą na dach, wyszedł na krawędź i...?

Pochylił się i zachwiał, niemal tracąc równowagę. Stał na wysokim na metr murku okalającym dach. Na prawo wznosiły się anteny telewizyjne, zebrowane metalowymi drutami. Przed nim nie było nic. Ciemność. Przepaść za zasłoną deszczu.

“Wszystko będzie dobrze”- usłyszał gdzieś blisko. Może w swojej głowie?-
“Musisz tylko wierzyć”.

Muza? Tak, to ona, poznawał jej namiętny głos, szepczący do niego każdej nocy ostatnich tygodni. Była jedynym, co utrzymywało go przy zmysłach.

“Twoja wiara połączy nas, wystarczy, że zrobisz krok i przyjdiesz do mnie po kroplach deszczu”. Znów tylko głos. Gdzie była? Dlaczego nie ma jej przy nim, gdy go potrzebuje?

- Panie Dubiel, proszę się zatrzymać!

Odwrócił się i spojrzał na dwójkę idącą powoli w jego kierunku. Ogromny, łysy i szeroki w barach facet o twarzy niewyspanego buldoga. I kobieta, drobna brunetka o miłej aparycji, choć o zapominalnej urodzie. Oboje ubrani byli teraz w ciemne, niemal czarne mundury, a na piersiach połyskiwały im blaszane odznaki. Tylko jeden szczegół nie pasował. Nie byli nawet mokrzy, mimo deszczu... Dlaczego?

- Podkomisarz Dąbek, a to aspirant Wojnowska- odezwał się wielkolud- jesteśmy z somno-patrolu, z Wydziału Walki z Przystępczością Śnienia.

Przystępczość śnienia... Głupia nazwa. Jednak ten człowiek, Dąbek, mówił stanowczym, uspokajającym głosem policjanta przemawiającego do potencjalnej ofiary.

- W tym momencie jest pan w swoim łóżku. Śpi pan, konkretnie mówiąc- kontynuował funkcjonariusz, podchodząc powoli- To, co pana otacza, to sen, nie prawdziwa rzeczywistość. Jesteśmy tutaj, żeby panu pomóc.

“Kłamią, nie wierz im”- odezwał się głos w jego głowie. Głos Muzy.

- Miał pan do czynienia z groźną materializacją parasomiczną- kontynuował tamten- snem, który próbował uzależnić pana od... To coś jak uzależnienie od wody albo narkotyków, ale w tym przypadku sen chce... Leine, weź mu to wytłumacz jakoś po ludzku.

Aspirant Wojnowska, przypomniał sobie jak przez mgłę. Wszystkie myśli były dla niego mgliste, niedostępne. Był tylko cichy szept Muzy wewnątrz jego głowy.

- Ona pana wykorzystuje, panie Kazimierzu- widział już z bliska zatroskaną twarz tej drugiej- Powoli przejmuje kontrolę nad pana życiem, sprawia, że wydaje się

niewarte... ehm... przeżycia. Jedyłą odskocznia staje się sen. I wtedy pojawia się jako ukojenie. To jej sposób działania. Nie jest pan pierwszą ofiarą, ale dzięki panu możemy ją złapać.

Stojąc wciąż na granicy przepaści, spróbował się otrząsnąć, pozbierać myśli. Widział przed sobą dwójkę ludzi, może wyglądających przedziwnie i opowiadających niestworzone rzeczy, ale poza tym całkiem zwyczajnych. Czuł wodę kapiącą mu na stopy, wiatr ziębiący skórę, krople padające na obwisłe ramiona.

- Wyciągnę teraz... - wielkolud zaczął i sięgnął po coś do tylnej kieszeni spodni, ale nie zdążył.

Dubiel poczuł, że jego ciałem wstrząsa silny, nieopanowany dreszcz. Czuł przerażenie. Spazm. Samotność. Przede wszystkim dojmującą, odbierającą zmysły samotność, kiedy coś oderwało się od niego i popłynęło w przestrzeń.

Mundurowy przytknął do ust jakieś urządzenie- komunikator, może krótkofalówkę- i krzyknął:

- Texel, dawaj ekranowanie, migiem! Texel, kurwa, słyszysz...

Coś wystrzeliło w górę, w mroczne niebo. Widział, jak się oddala.. Nie wiedział, dlaczego teraz go opuszcza.

“Nie bój się, Kazimierzu”- to znowu ona. Znow ta, która dała mu nowe życie, i bez której to nowe życie będzie niczym- “Musisz tylko mi wierzyć. Oto, co zrobimy”.

Budynek zatrzęsł się w posadach, funkcjonariusze somno-patrolu ledwie utrzymali równowagę.

- Texel, ekranowanie, do ciężkiej...- ryczał mundurowy - Leine, łap ją!

Drobna kobieta sprężyła się i skoczyła w powietrze, przyspieszając z każdym metrem i nie zatrzymując się. Pędziła za swym celem w górę, naprzeciw kroplom, w mrok. Dubiel widział, jak lawiruje, odbija w bok, jak dwie smugi łączą się, spajają, potem rozłączają i znow splatają, tworząc ulotne kształty w powietrzu.

Musi wierzyć. Wtedy wszystko się skończy, i złączą się w wieczny...

- Jak to “nie da się jej zekranować”?- wrzeszczał do komunikatora Dąbek- Przecież widzę, jak zapierdala po niebie! Jak to... jest wciąż...

“Teraz”. Dubiel widział, jak funkcjonariusz wyciąga coś z kieszeni i rzuca się w jego kierunku. Dostrzegł niewielki, okrągły przedmiot z małymi frędzlami, jakąś ozdobę lub amulet. Może broń.

Bez znaczenia. Wystarczy wierzyć.

Funkcjonariusz skoczył, by go złapać. Był szybki, szczególnie jak na swą posturę. Nie dość szybki.

Wystarczy wierzyć.

Dubiel cofnął się, przechylił i spadł w otchłań.

Coś ciężkiego huknęło w drzwi. Drugi raz, trzeci. Zamek puścił, a do środka wpadł niewielki oddział funkcjonariuszy. Po zagraconym pokoju biegały światła latarek, przeszukując pomieszczenie.

- Tutaj jest! - krzyknął podkomisarz Dąbek - wjeżdżajcie z tymi noszami, tylko nie zabijcie się o ten syf.

Ktoś zapalił główne światło, ukazując pełnię nędzy i rozpacz. Dwóch sanitariuszy taszczyło nosze w kierunku wąskiego łóżka, na którym leżał śpiący mężczyzna.

- Powiedźcie białym, że mają go stabilizować od razu pod EEG i rezonansem- rzucił Dąbek, wychodząc z pomieszczenia- nasi będą robić co się da, żeby go wyciągnąć, ale może uda się ustalić sygnaturę wyjścia snu, do następnego ataku.

Kiedy wynoszono ciało spojrzął z niesmakiem na przedpokój ofiary.

- Albo będzie, kurwa, jak ostatnio...- mruknął do siebie.

Kazimierz Dubiel odzyskał świadomość. Żył. Wiedział, że wiele z tego, co pamiętał, było snem, nie potrafił jednak powiedzieć, ile było rzeczywistością. Był ktoś, kogo bardzo chciał spotkać. Kto obiecał, że z nim będzie... Tego kogoś tutaj nie było. Była ciemność, całkowita i nieprzenikniona.

Spróbował otworzyć oczy. Nie miał oczu, by widzieć.

Spróbował wyłapać jakikolwiek dźwięk, szmer, choćby najdelikatniejszy szum. Niczego nie słyszał. Nie miał uszu.

Chciał krzyczeć o pomoc, ale nie może krzyczeć ten, kto nie ma gardła, ust i języka?

Niczego nie czuł, nie dochodziły do niego żadne bodźce. Wiedział tylko, że jest, istnieje, że nazywa się...

Zapomniał jak się nazywał. Czuł tylko pustkę, i samotność, i strach.